

Joseph Andras to pseudonim, pod którym ukrywa się francuski pisarz. Według oficjalnej biografii urodził się w 1984 roku i mieszka w Normandii. Jest autorem ośmiu książek i licznych artykułów publikowanych we francuskiej prasie lewicowej. Zajmuje stanowisko w palących kwestiach społeczno-politycznych, między innymi podpisał się pod apelami na rzecz uwolnienia piosenkarki kurdyjskiej Nûdem Durak i więźniów politycznych w Turcji, opowiadał się za amnestią dla uczestników demonstracji żółtych kamizelek oraz przeciwko przemocy policji. Autor listu otwartego do uwięzionej kurdyjskiej dziennikarki Öznur Değer. W 2016 roku zadebiutował powieścią *Ażeby jutro nie ośmielili się już nas mordować*. Odmówił przyjęcia przyznanej mu za tę książkę Nagrody Goncourtów za debiut, tłumacząc, że jego koncepcja literatury jest sprzeczna z pojęciem współzawodnictwa. W wywiadach dla „L’Humanité” i libańskiego „L’Orient-Le Jour” wyjaśniał, że nie mógł pozwolić na „instytucjonalizację” tej historii oraz ideałów jej bohaterów. Praca nad kolejnymi książkami zaprowadziła Andrasa między innymi do Chiapas, Nowej Kaledonii i Kurdystanu. Krytyka podkreśla poetycki wymiar jego twórczości, która zawiera cechy politycznej i historycznej refleksji. Dziennik „Libération” nazwał Andrasa „poetą zaangażowania”.

JOSEPH ANDRAS

AŻEBY JUTRO
NIE OŚMIELILI SIĘ
JUŻ NAS MORDOWAĆ

Z JĘZYKA FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁA

KATARZYNA MARCZEWSKA



claroscuro

Deszcz – nie z tych zdecydowanych, dumnych. Nie. Ot, skąpy deszczyk. Lichy. Niepozorny. Fernand schodzi dwa metry w bok od bitej drogi, czeka pod osłoną cedru. Powiedzieli, że o wpół do drugiej. Jeszcze tylko cztery minuty. Tak, wpół do drugiej. Okropność, co za podstępny deszcz, nie ma w sobie odwagi ulewy, takiej prawdziwej, skąpa kropelka spłynie po karku, ledwo go dotknie końcami palców i da za wygraną. Trzy minuty. Fernand nie spuszcza z oczu zegarka. Nadjeżdża samochód. Czy to ten? Jedzie dalej. Cztery minuty spóźnienia. Miejmy nadzieję, że to nic poważnego. W oddali widać następne auto. Niebieski panhard. Rejestracja orańska. Staje na poboczu. Po-obijana kratka chłodnicy, model sprzed lat. Jacqueline jest sama. Wysiada, rozgląda się wokół, patrzy w lewo, w prawo, znowu w lewo. Proszę, przywiozłam papiery, są tam dokładne instrukcje, nic się nie martw, Taleb pomyślał o wszystkim. Dwie kartki, po jednej na każdą bombę, szczegółowe wskazówki. *Między 19.25 a 19.30. Opóźnienie zapalnika – 5 minut... Między 19.23 a 19.30. Opóźnienie zapalnika – 7 minut...* Fernand jest spokojny: najważniejsze, że przyjechała, dotarła, i kwita. Bierze

od niej papiery, wkłada do prawej kieszeni roboczego kombinezonu. Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy u jednego z towarzyszy – jak zwykle ściszone głosy, przytłumione światło – pomyślał, że jest Arabką. Brunetka, bardzo ciemna brunetka, niewątpliwie, nos długi, garbaty, pełne usta, niewątpliwie, a jednak nie ma arabskich rysów... Wypukłe powieki okrywające ciemne, choć wesołe oczy, lekko podkrążone czarne owoce. Jacqueline niewątpliwie jest piękną kobietą. Wyjmuje z bagażnika dwa pudełka na męskie obuwie, na krótszym boku można odczytać rozmiary: 42 i 44. Dwie? O nie, nie dam rady. Mam tylko tę torbę, spójrz, jest za mała, zmieszczę tylko jedną bombę. A poza tym majster stale mi się przygląda, zauważy, że wracam z inną torbą. Naprawdę, wierz mi, nie mogę. Fernand przysuwa jedno z pudełek do ucha: strasznie łomocze, posłuchaj, tik-tak, tik-tak, tik-tak, naprawdę jesteś pewna, że...? Taleb nie dał rady zrobić nic lepszego, ale się nie przejmuj, wszystko pójdzie jak trzeba, odpowiada Jacqueline. No to załatwione. Wsiadaj, podrzucę cię kawałek. Nie sądzisz, że to miejsce dziwnie się nazywa? O czymś trzeba rozmawiać, mówi sobie w duchu Fernand, o czymkolwiek, byle nie o tym, dopóki nie wykona zadania. Wąwóz Dzikuski. Znasz tę legendę? – pyta Jacqueline. Właściwie to nie. A może zapomniałem... Pewna kobieta, działo się to w ubiegłym stuleciu, nie jesteśmy już tacy młodzi, otóż pewna kobieta straciła dwójkę dzieci w lesie tuż nad urwiskiem; zrobili sobie piknik, piękny wiosenny dzień, biały obrus na trawie, sam wiesz, jak to wygląda, nie muszę ci opisywać, i po jedzeniu biedne maleństwa przepadły w wąwozie, nie można ich było odnaleźć, a matka doszczętnie straciła

rozum, nie chciała dać za wygraną, szukała ich do końca życia, nie odzywała się ani słowem, skowytała tylko jak ranne zwierzę, i tyle, więc ją przezwano Dzikuską, któregoś dnia ludzie znaleźli jej ciało w wąwozie, gdzieś tutaj, kto wie, może w miejscu, gdzie na mnie czekałeś? Fernand się uśmiecha. Rzeczywiście, ciekawa historia. Jacqueline zatrzymuje samochód. Wsiądź tu, nie chcę, żeby ktoś zobaczył auto w pobliżu fabryki. Powodzenia. Fernand wysiada, macha jej na pożegnanie, Jacqueline też macha dłonią i szybko odjeżdża. Fernand poprawia na ramieniu pasek torby sportowej. Bladozielona, jaśniejsza u góry, z otworem ściągającym na sznurek – torba pożyczona od kolegi, który w niedzielę chodzi z nią grać w koszykówkę. Zachowywać się jak najswobodniej. Jak gdyby nigdy nic, najnaturalniej w świecie. Nosi ją do pracy od wielu dni, żeby strażnicy przywykli do tego widoku. Myśleć o całkiem innych rzeczach. Dzikuska z wąwozu, doprawdy, co za dziwna historia. Mom' patrzy na Fernanda. Ciężki, zdecydowany nos nad wąsami. Wszystko gra, kolego? Tak, jasne, tylko się przeszedłem, chciałem się trochę przewietrzyć, dziś rano robota dała mi w kość. Nie, Mom', deszcz mi nie przeszkadza, zresztą pada tyciu, tyciu, to tylko kapuśniaczek, za chwilę przejdzie, sam zobaczysz... Tyciu, tyciu, jak ten Francuzik gada. Mom' klepie go po ramieniu. Fernand myśli o bombie na dnie torby, o bombie i o tykaniu, tik-tak, tik-tak. Jest druga, czas wracać do maszyny. Już idę, Mom', tylko odłożę torbę, tak, już idę. Fernand omiata wzrokiem podwórze, starając się nie poruszać głową. Jak gdyby nigdy nic. Żadnego gwałtownego ruchu. Idzie wolnym krokiem w kierunku nieużywanej komórki, którą wypatrzył trzy

tygodnie wcześniej. Do fabrycznej rozdzielni gazu nie sposób się dostać – ogrodzona drutem kolczastym, po drodze trzy posterunki strażników. Gorzej niż bank w centrum miasta albo pałac głowy państwa (nie mówiąc już o tym, że ten, kto tam wchodzi, musi się rozebrać niemal do naga). Słowem – niemożliwe. Poza tym niebezpieczne, o wiele za bardzo, towarzyszu Hachelafie. Żadnych ofiar, ma się to odbyć bez ofiar. Lepszy będzie pusty składzik, gdzie nikt nie zagląda. Matahar, stary robotnicarz o twarzy z żółtej krepiny, dał mu klucz bez chwili wahania – tylko po to, żeby się zdrzemnąć, Matahar, jutro ci go oddam, obiecuj, że nie powiesz nikomu. Staremu można zaufać, والله العظيم, nikomu nie powiem, Fernandzie, możesz spać bez obaw. Fernand wyjmując klucz z prawej kieszeni, obraca go w zamku, ogląda się ukradkiem za siebie, nikogo, wchodzi, otwiera szafkę, kładzie torbę treningową na środkowej półce, zamyka, znów przekręca klucz w zamku. Potem idzie do głównego wejścia, kłania się strażnikowi, jak nakazuje obyczaj, i podchodzi do swojej obrabiarki. Już nie pada, sam widziałeś, Mom'. Rzeczywiście, widział, mimo wszystko paskudny ten szary listopad, wyprawia z pogodą, co chce. Fernand siada przy maszynie, zakłada wytarte na szwach rękawice. Dziś o siódmej wieczór, po skończonej pracy, tuż przed wybuchem bomby za bramą fabryki będzie na niego czekał łącznik nieznanemu z imienia i nazwiska. Zaprowadzi go do kryjówki, której adresu Fernand również nie zna, wie tylko, że to będzie gdzieś w Kasbie, a potem ma się przyłączyć do partyzantów... Być może nazajutrz albo za kilka dni, nie do niego należy decyzja. Teraz trzeba siedzieć przy maszynie, cierpliwie czekać, jak co dzień,

zebrać się do wyjścia o tej samej porze co wszyscy, odłożyć wytarte zielone rękawice, pożartować chwilę z kolegami, jak co dzień, do jutra, tak, dobranoć, chłopaki, pozdrówcie rodzinę. Nie wzbudzać najmniejszych podejrzeń – Hachelaf przypominał o tym do znudzenia. Mimo usilnych starań Fernand nie może się powstrzymać, żeby nie myśleć o Hélène, nie myśli zresztą o niczym innym, mózg, nieposłuszny pięciokilowy berbec, ma swoje fanaberie. Jak Hélène się zachowa, kiedy się dowie, że opuścił Algier i przyłączył się do partyzantów? Czy domyślała się tego? Czy rzeczywiście dobrze zrobił, że trzymał to w tajemnicy? Towarzysze nie mieli wątpliwości. Kiedy trwa walka, miłość schodzi na dalszy plan. Ideały wymagają ofiar; bój i błękit kwiatów są niczym noc i dzień. Tak być powinno, żeby się wszystko potoczyło jak trzeba. Jest już prawie czwarta, kiedy słyszy swoje nazwisko, a za nim znak zapytania. Ktoś z tyłu go woła, Fernand się odwraca. Gliniarze. Cholera. Przemyka mu przez myśl, że trzeba uciekać, ale zanim zdąży się poruszyć, już go chwytają. Jest ich czterech czy pięciu – nie ma głowy do liczenia. W głębi majster Oriol ledwo się hamuje, wąskie usta łajdaka usiłują powstrzymać uśmiech, lepiej się nie zdradzać, nigdy nic nie wiadomo, ludzie powiadają, że komuniści potrafią się zemścić. Nadchodzą trzej żołnierze, starsi szeregowi lotnictwa, wezwani zapewne na odsiecz. Cała fabryka jest okrążona, szukaliśmy wszędzie, na razie znaleźliśmy tylko jedną bombę, była w schowku, w zielonej torbie, raportuje jeden z przybyłych, zupełny dzieciak, szczeniak bez zarostu. Głupia gęba pod okrągłym hełmem. Każdy z nich ma przewieszony przez ramię pistolet maszynowy. Fernand nic nie mówi.